

Stanisław Jatkowski

Wspomnienia

Niepodległość i Pamięć 6/1 (14), 189-202

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Jatkowski

Wspomnienia

Wojenny los mojej rodziny - rodziny osadnika wojskowego - to doła wielu kresowych rodzin przeżywających tragedię deportacji, głodu, zimna, ubóstwa i śmierci najbliższych. Będąc dziećmi cierpieliśmy za polskość i patriotyzm ojca, który w roku 1920 jako ochotnik walczył pod wodzą Józefa Piłsudskiego w obronie Ojczyzny. Później, jako ludzie dorośli założyliśmy rodziny i ciężko dla nich pracowaliśmy. Doświadczenia z dzieciństwa boleśnie wpisały się w naszą świadomość i wywarły piętno na całe późniejsze życie.

Urodziłem się 8 maja (2 stycznia) 1934 r. w osadzie Popławce w pow. Grodno, woj. białostockie. Mój ojciec, osadnik wojskowy w randze starszego plutonowego ur. w 1897 r. pochodzi ze wsi Małe Jodkiewicze. Matka Antonina, z domu także Jodkowska, ur. w 1894 r. we wsi Wielkie Jodkiewicze, zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. Nasze nazwisko rodowe Jodkowscy zmienione zostało podczas pobytu na Syberii na Jatkowscy i w takim brzmieniu figuruje w późniejszych dokumentach. Przekłamanu uległa również data mojego urodzenia. Ochrzczony zostałem w Brzostowicy Wielkiej, parafii do której należały Popławce. Mam dwie siostry: Annę ur. 1931 r., Klementynę ur. 1938 r. i brata Mieczysława ur. w 1939 r. Wszyscy przyszliśmy na świat w osadzie Popławce.

Ojciec mój - Hieronim - brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. jako ochotnik i tam został ranny. Po wojnie - 15 maja 1923 r., w dowód uznania, otrzymał od państwa polskiego 11,5 ha ziemi w Popławcach, której poprzednim właścicielem był obszarnik Biszping z Masalan. W 1918 r. ojciec wstąpił do POW (samoobrony Ziemi Grodzieńskiej). Z tego oddziału został później sformowany Grodzieński Pułk Strzelców, a następnie 81 pułk, który z Wołkowyska wyruszył na front bolszewicki pod Słonim. W kwietniu 1919 r. w walce pod Baranowiczami, przy zajmowaniu Lidy i Wilna ojciec został ciężko ranny. Leczony był w szpitalu w Wołkowysku i w Warszawie. Po wyleczeniu wrócił do pułku i uczestniczył jako starszy plutonowy w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1922 r. został zdemobilizowany i w 1925 r. osiadł w Popławcach w gospodarstwie rolnym otrzymanym za zasługi wojenne. 30 stycznia 1938 r. ojciec zwrócił się do Kapituły Orderu Virtuti Militari o odznaczenie go Krzyżem Niepodległości jako uczestnika wojny o niepodległość Polski 1918-1921. Odpowiedzi na swój wniosek nie otrzymał.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski (17 września 1939) NKWD aresztowało mojego ojca w dniu 3 października 1939 r. Od tego czasu nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. W 1994 r. uzyskałem od prokuratury w Grodnie zaświadczenie, że Jodkowski Hieronim, syn Juliana, ur. 1897 r. we wsi Małe Jodkiewicze został 3

października 1939 r. aresztowany przez NKWD i skazany, jako społecznie niebezpieczny element, na 8 lat pracy w łagrze. Wysłany został do Siewdwin łagru NKWD ZSRR (koło Archangielska). Zmarł 20 lutego 1941 r. Okres jego męki fizycznej i tortur psychicznych trwał prawie dwa lata.

Decyzją prokuratury z 31 października 1989 r. skazanie go uznano za nieuzasadnione i został on zrehabilitowany z powodów politycznych. Ojca mego skazano bez sądu, zrehabilitowano również bez przewodu sądowego, jedynie decyzją prokuratury i to wyłącznie z powodów politycznych.

W osadzie Popławce zamieszkiwało około dwudziestu rodzin, w tym 11 osadniczych: Czerniawscy, Jodkowscy, Omieliancykowie, Pęczkowie, Przewoźniakowie, Stoccy, Szawiele, Tumiele, Wirkowscy, Zaniewscy, Żebrowscy, Bergiele, Chlebowicze, Cydzicy, Jurczeńscy, Korotkiewiczze, Owsiejczykowie, Poczobutowie i Rolscy. Była tu też czteroklasowa szkoła, w której uczyła jedna nauczycielka Stefania Samborowska. W gminie Hołynka była szkoła sześcioklasowa, w której uczyły się też dzieci z osady, szczególnie w klasach starszych.

Budynki w naszym gospodarstwie ustawione były na planie prostokąta otwartego. Budynek mieszkalny, murowany, obsadzony był różnymi krzewami i kwiatami. Najwięcej było bzu i malin. W odległości 20 m stał murowany chlew oraz stajnia dla koni i obora dla krów. W tej samej odległości stała drewniana stodoła. Przed domem była studnia i ławeczka, na której siadywaliśmy z rodzeństwem, a czasem były robione zdjęcia. Około 100 m od podwórka znajdował się zarybiony staw. W mieszkaniu mieliśmy kryształkowe radio, którego ojciec chętnie słuchał i mnie pozwalał czasem posłuchać.

10 lutego 1940 r. rodziny osadników z Popławiec zostały deportowane na Syberię. Pozostałe rodziny też zostały wysiedlone. Po wojnie naszą osadę zrównano z ziemią zacierając ślady jej istnienia. Po wielu latach odwiedziliśmy z rodzeństwem nasze rodzinne strony. I cóż zastaliśmy? Po naszych zabudowaniach pozostało trochę cegieł, wgłębienie po stawie, krzaki bzu i dookoła łąki i pole. Nasze dzieci nazbierały trochę kwiatów, które przechowują do dziś, jako pamiątkę z naszych rodzinnych stron. Inny obraz tego porośniętego łąką i kwiatami miejsca zachowałem z czasów dzieciństwa. Przypominają mi się tu myśli prymasa Stefana Wyszyńskiego: *Obyśmy w poszukiwaniu sprawiedliwości nie spodleli. A można spodełć przez dochodzenie swego za wszelką cenę. Okazujmy raczej miłosierdzie, które przewyższa wszelką sprawiedliwość.*

10 lutego 1940 r. wczesnym rankiem do osady przyjechało dużo enkawudzystów i zrobili rewizję w naszym gospodarstwie. Szukano broni, przetrząsnięto każdą szczelinę - nic nie znaleziono. Następnie kazano matce zbierać rzeczy, radząc życzliwie, aby spakowała ciepłe ubranie i żywność. Mieliśmy dużo wędlin, gdyż wcześniej odwiedzili nas bracia ojca Piotr i Kazimierz, zabili świniaka i narobili sporo kielbas i wędzonki. Posadzili nas w zimową, mroźną noc do zaprzężonych końmi sań i zawieźli do szkoły w Hołyne i następnego dnia skoro świt do stacji kolejowej Wielka Brzostowica. Wprowadzono nas wszystkich do wagonu towarowego, wyposażonego w dwupoziomowe prycze do spania, żelazny piecyk (na środku) i otwór w podłodze do załatwiania potrzeb fizjologicznych (blisko ściany).

Pamiętam, byliśmy w jednym wagonie z Marią Zaniewską i jej czwórką dzieci. Małe okna w wagonie były zakratowane, a drzwi zamknięte na zamek z zewnątrz. Wagon był mały - miał ok. 10 m długości. Według normy w wagonie powinno podróżować 25 osób, ale nikt norm nie przestrzegał. Drewniane ściany wagonu podczas jazdy pokrywały się lodem. Jechaliśmy jednym pociągiem ze Stockimi, Czerniawskimi,

Szawielami, Żebrowskimi. Nie pamiętam jak długo trwała podróż. Przez całą drogę w wagonie panował przeraźliwy chłód, okropny smród, słychać było nieprzerwany płacz dzieci i dorosłych. Na niektórych stacjach można było zaopatrzyć się w wodę i dawano węgiel do pieca. Sporadycznie dawano nam od czasu do czasu i zupe przyniesioną w wiadrze.

Po długiej i męczącej podróży dotarliśmy do Altajskiego Kraju, Krajuszyńskiego Rejonu, na Uczastok Leśny 25, który znajdował się w tajdze. Do 25 Uczastka dochodziły tory kolejowe normalnej szerokości, a dalej w głąb tajgi - wąskie. Tymi wąskimi torami sprowadzano z głębi tajgi drewno do tartaku. Do wąskich torów drewno dowożono końmi. W tartaku piłowano kłocce na deski i podkłady kolejowe. Wszystkie prace przy wyрубie lasu i w tartaku wykonywali deportowani tu osadnicy. Pracować musiał każdy od 14 roku życia. Mieszkaliśmy w barakach zbudowanych z dużych bali sosnowych uszczelnianych mchem. Nasz barak był długi, nie podzielony wewnątrz na mniejsze pomieszczenia. Pod ścianami stały prycze (4 m² na osobę), a środkiem wiodło przejście. Cały dobytek każdy trzymał pod pryczą. Znajdowały się tam 2 duże baraki i kilka małych domków Rosjan. Baraki były zapluskwione. Nieopodal przepływała bardzo rybna rzeka, która każdej wiosny wylewała. Nad rzeką stała łaźnia. W Uczastku znajdowała się także stołówka, w której gotowano zupe dla pracujących oraz sklep, gdzie sprzedawano chleb na kartki. Nam nie wolno było się oddalać od miejsca zakwaterowania. Czuwał nad tym naczelnik Witoszkin.

W barakach było zimno, mimo że paliliśmy w piecach bez przerwy. Opału nie brakowało. Najbardziej dokuczał nam głód. Przydział chleba dla pracującego wynosił: 800 g i gorąca zupa z buraków lub brukwi albo kapuśniak. Dzieci i starcy, którzy nie chodzili do pracy otrzymywali 400 g chleba. Polacy potajemnie chodzili do pobliskich wiosek i wymieniali kosztowne rzeczy na żywność. Do 22 czerwca 1941 r. z Polski przychodziły paczki żywnościowe. Dla nas przysyłał je brat ojca - Kazimierz. Przeważnie zawierały one wędzoną słoninę, makę i kaszę. Z powodu niedożywienia, chłodu i przepracowania ludzie chorowali na biegunkę, szkorbut, tyfus. Chorzy leżeli w tym samym baraku, gdzie mieszkali, nie kierowano ich do szpitala. Występowała zatem u nas duża śmiertelność. Zmarłych grzebano na cmentarzu pod lasem w trumnach z nieheblowanych desek. Na mogiłach zezwalano stawiać krzyże.

Latem przed barakiem palono ogniska i gotowano coś do jedzenia. Jeden zesłaniec wybudował sobie skromny dom, inni latem stawiali szałas i w nich mieszkali. Kuzynka naszej mamy Stanisława Apoznańska kupiła krowę za przysłane z Polski pieńdże, ale był to jedyny przypadek tego typu. Po amnestii przesiedlono nas wszystkich z Uczastka 25 do Uczastka 41 niedaleko wsi Gałyszewo i rzeki. Zapamiętałem tę wieś z powodu często śpiewanej czastuszki:

*Gałyszewskaja szpana wory i grabitielei
Jechał dzieduszka s gawnom
I tawo abidzieli*

Tu też mieszkaliśmy w barakach i trzeba było pracować w lesie. Nie było natomiast zakazu chodzenia do wsi. Każdy, kto ukończył 14 lat musiał pracować pod groźbą pozbawienia rodziny kartek żywnościowych. Na kartki można było kupić prawie wyłącznie chleb w ilości 800 g dziennie dla pracującego i 400 g dla niezdolnego do pracy. Inne przydziały - cukier, kasza itp. sporadycznie pojawiały się w sklepie. Śpiewano zatem taką czastuszkę:

*Kak Lenin pamirał
Stalinu nakazywał
Sztoby chleba nie dawał
Sata nie pakazywał*

Moja matka zmarła na Uczastku 41 na wiosnę 1942 r. z wycieńczenia i niedożywienia. Pogrzebała ją pani Zaniewska i sąsiedzi deportowani razem z nami z osady Popławce. Przy pochówku była moja starsza siostra Anna. Cmentarz znajdował się pod lasem. Po śmierci mamy zostaliśmy całkowicie sami: 11-letnia Anna, 8-letni Stanisław, 4-letnia Klementyna, 3-letni Mieczysław. Byliśmy z dala od domu, od krewnych, na których można było liczyć, w ciężkiej sytuacji. Nic gorszego nie mogło nas spotkać.

W tych jakże trudnych dla nas chwilach zaopiekowała się nami Maria Zaniewska, przedwojenna sąsiadka, mająca swoich czworo małych dzieci do wykarmienia i ubrania. Pamiętam, jak nasza mama krótko przed śmiercią często mówiła: "dzieci moje, dzieci, co z wami będzie jak ja umrę?", a mojej siostrze Annie przykazywała: "Ty jesteś najstarsza - zaopiekuj się rodzeństwem".

Mieszkaliśmy w jednym, ogrzewanym pokoju - pani Zaniewska i ośmioro małych dzieci. Powierzchnia pokoju wynosiła ok. 15 m². Był tam piec z płytą żeliwną i jedno okno. Wiadomo, że elektryczności nie było, wodę czerpaliśmy ze studni na zewnątrz, ubicacja znajdowała się koło baraku. Świeciliśmy lampą naftową, jak była nafta, a przeważnie łączyłem. Bardzo skromne jedzenie dostawaliśmy w przedszkolu, ubranie - z opieki społecznej. Często chodziłem do lasu kopać saranki - cebulki kwiatowe nadające się do jedzenia, grzyby, jagody oraz zbierać opał na zimę. Moim najlepszym kolegą w tym czasie był Adam Zaniewski. Na Uczastku znajdował się również punkt medyczny. Robiono tam opatrunki, leczono drobne skaleczenia.

Maria Zaniewska zastępowała nam matkę i ojca, dbała o nas, doglądała, mimo że musiała pracować przy wyrębie lasu. Ja i Ania pogodziliśmy się ze śmiercią mamy, natomiast Mieczysław i Klementyna nieraz płakali i bardzo za nią tęsknili. Tłumaczyliśmy im wówczas, że mama umarła, ale nie mogli tego jeszcze zrozumieć. Po pewnym czasie przekonali się, że mama do nich już nigdy nie przyjdzie i nie wymawiali więcej jej imienia.

12 września 1943 r. pani Zaniewska zawiozła naszą czwórkę do Polskiego Domu dziecka w Zudziłowie niedaleko stacji Altajskaja, przez którą biegła kolej do Barnaulu i do Bijska. W Zudziłowie był Dom Inwalidów, szkoła siedmioklasowa, sklep. Dyrektorem sierocińca był Nikołaj, syn Jakowa Fiedorow. Były też dwie Polki - wychowawczynie: Jadwiga Lohman i pani Szczucka. Przy Domu Dziecka znajdowało się pomocnicze gospodarstwo rolne (15 ha ziemi). Chłopcy w wieku 10-11 lat paśli krowy (4 sztuki), owce (ok. 20 sztuk) i konie (początkowo 3, później 5 sztuk). Mnie dali do jeżdżenia kobyłę, gdyż nikt inny nie chciał na niej jeździć. Nie potrafiłem jeździć konno, ale bardzo chciałem się nauczyć. Gdy dosiadałem tej kobyły, to poganiali ją tak intensywnie i długo, aż spadłem z niej, a koledzy mieli z tego niezłą zabawę. Nic mi się w wyniku tego upadku nie stało, jedynie trochę się potłukłem i wkrótce opanowałem jazdę na oklep. Często rywalizowaliśmy w wyścigach. Jedna dziewczynka także jeździła, a była nią Krysia Ziemińska. Starsi chłopcy (Aleksander Charyton, Jan Jancz, Zbigniew Jędrzejczyk, Florian Kubik, Franciszek Maszkowski) przywozili drzewo z lasu na opał. Piłowali je na kloce i rąbali tak, by zmieściły się do pieca. Zimą poiiliśmy konie i podawaliśmy im siana.

Początkowo chodziłem do szkoły rosyjskiej położonej nieopodal naszego budynku. Później, tj. od 1945 r. uczyliśmy się tylko po polsku. Mieliśmy polskie podręczniki wydrukowane w Moskwie z inicjatywy Związku Patriotów Polskich. Od czasu do czasu (dość rzadko) przyjeżdżało kino objazdowe i wyświetlano filmy. Prądu nie było - trzeba było kręcić korbą ręcznej prądnicy.

Bardzo lubiliśmy panią J. Lohman. Czytywała nam często i opowiadała bajki. Nauczyła nas wycinać, robić pajace, które skakały pociągane za nitkę oraz wykonywać różne latawce. Uczyliśmy się wierszy i piosenek polskich. Gdy przyjechał wizytator z Barnału zorganizowaliśmy występ.

Starsi chłopcy zrobili z kłoców sosnowych huśtawkę wysoką na trzy metry, można było huśtać się we dwoje na siedząco lub stojąco. Ja z kolei zrobiłem karty do gry - wyciąłem nożem z drewna pieczętki i stemplowałem nimi kartoniki. Graliśmy przeważnie w durnia rosyjskiego oraz w tysiąca. Zrobiliśmy sobie także domino. Zimą wykonywałem sanki oraz narty. Pan Franciszek Puchalski uczył nas robić koszyki z wikliny oraz naprawiał nasze obuwie. Miał różne narzędzia: piłę do drewna, hebel, stróżek, młotek, obcęgi. Czubki nart trzeba było moczyć w gorącej wodzie, wyginać i suszyć.

Pewnego razu zginęły nam trzy konie. Pan Nazary Grenz kazał ich poszukać. Wsiadłem na konia, jeździłem po lesie i szukałem. Znalazłem je dopiero niedaleko pola kołchozowego. Dozorca kołchozowy złapał dwa, które weszły w młodą pszenicę, a trzeci nie dał się złapać - obcych gryzł i kopał. Mnie pozwolił podejść do siebie i w efekcie wszystkie trzy konie szczęśliwie przyprowadziłem do Domu Dziecka.

Robiliśmy łuki i strzelaliśmy do czego się dało. Pewnego razu strzelaliśmy do portretów Stalina i Timoszenki wiszących na ścianie w Domu Dziecka. Złapał nas przy tym dyrektor Nikołaj Jakowicz Fiedorow i ukarał we własnym zakresie tj. zbił nas paskiem od spodni. Najwięcej dostał najstarszy kolega Michał Henszel.

Pewnego razu Olgierd G. chwalił się, że przed wojną jeździł na słoniu. Wówczas chłopcy zaproponowali mu jazdę na koniu. Gdy się zgodził i siadł na konia, to tak długo poganił konia, aż sobie obtarł pośladki. Konie były niedożywione, bardzo chude. Olgierd przez pewien czas jadł na stojąco, nie mógł siedzieć.

Latem często chodziliśmy nad rzekę kąpać się. Wtedy nauczyłem się pływać. Ryb w rzece było bardzo dużo. Pewnego razu zastawiono sieci od brzegu do brzegu rzeki i łódką naganiano do niej ryby. Połów był bardzo obfity, ponieważ woda była bardzo czysta, a rzeka rybna.

Starsi chłopcy latem będąc na podwórku siedzieli na trawie i grali na bałajce i śpiewali czastuszki. Sześciu starszych chłopców, którzy mieli ponad 14 lat musieli pracować - wykonywali różne czynności na rzecz Domu Dziecka. Pracowali oni przy koniach, na roli, przywozili siano, żywność, drewno z lasu na opał itd. Nadzorowało ich pracę i pomagało im dwóch emerytów kołchozowych. Naprawiali oni wozy, sanie, uprząż, nadzorowali wyręb drzew w lesie. Byli oni nauczycielami pracy na roli i w lesie. Chłopcy ci zamieszkiwali u wieśniaków na kwaterach prywatnych. Sierociniec mieścił się w dwóch domach. W pierwszym - piętrowym - na parterze mieszkali chłopcy powyżej 8 lat, na piętrze była kancelaria i sala dla dzieci do 8 lat. W drugim piętrowym budynku znajdowała się sala dla dziewcząt powyżej 8 lat oraz skład żywności i ubrań. W następnym parterowym budynku mieściła się czteroizbowa siedmioletnia szkoła rosyjska. Szkoła pracowała na dwie zmiany. Anię umieszczono w grupie dziewcząt starszych, Klementynę, Mieczysława i mnie - w sali dzieci młodszych. Wychowawczynią dzieci do lat 8 była pani Jadwiga Lohman. Otrzymaliśmy oddzielne

łóżka do spania, zapewniono nam trzy posiłki dziennie. Dzieci bardzo lubiły panią Jadwigę. Opowiadała nam ona bajki, uczyła nas śpiewać, robić zabawki. Nauczyła nas dbać o higienę osobistą. Była osobą o wysokiej kulturze osobistej i nieprzeciętnej inteligencji. Nigdy nie denerwowała się na nas, współuczestniczyła we wszystkim, w czym doświadczał nas okrutny los. Przeżywalismy ją "Delikatne Ciałko", bo była rzeczywiście delikatna i wrażliwa na naszą krzywdę.

Nie wolno było wieszać na ścianach obrazków o tematyce religijnej oraz modlić się. Dzieci modliły się po cichu, gdyż były do tego przyzwyczajone (nauczone) w domach rodzinnych. Pani Lohman nie karała dzieci za modlitwy, ale musiała dopilnować, by na ścianach nie wisiały obrazki. Powyższy zakaz wynikał z postulatu ateistycznego wychowania dzieci w sierocińcu. W salach było zimno - dzieci często się przeziębiały i chorowały.

Przed 1939 r. pani Lohman mieszkała razem z mężem w Warszawie. Podczas wojny obydwoje znaleźli się na wschodnich połaciach Polski. Po 17 września, kiedy okazało się, że są w strefie rosyjskiej, starali się wrócić do stolicy, złapano ich na granicy i skazano na kilka lat pracy przymusowej w łagrze w Kraju Altajskim. Tam też mąż pani Lohman zmarł. Po amnestii wynegocjowanej przez Sikorskiego została ona amnestionowana i jako osoba w podeszłym wieku została umieszczona przez Delegaturę Polską w Barnaule w Domu Starców, Dzieci i Inwalidów w Borówce. Po zerwaniu stosunków rządu polskiego w Londynie z rządem ZSRR dom ten został zlikwidowany. Część dzieci z tego domu przeniesiono do Domu Dziecka w Zudziłowie. Tam też zaczęła pracować pani Jadwiga jako wychowawczyni. Po zwolnieniu dyrektora Domu Dziecka w Zudziłowie - Fiodorowa - za nadużycia, głodzenie dzieci, brak szkoły oraz wykazywanie w ewidencji "martwych dusz" na to stanowisko powołany został Waław Przelaskowski.

Sytuacja w krótkim czasie zmieniła się na lepsze. Dzieci były zadbane, syte, uczyły się w języku polskim. Do Domu Dziecka wrócili ze zsyłki rodzice sierot. Według przepisów musieli oni zabrać swoje dzieci z sierocińca. Waław Przelaskowski zwolnił personel rosyjski, a zatrudnił tych rodziców, jako pracowników domu dziecka. W ten sposób dom ten został Polskim Domem Dziecka. Mogliśmy już bez obaw modlić się i uczyć się w języku polskim. Pani Wiktoria Grenz i Irena Woskriesieńska organizowały latem nabożeństwa, śpiewały piosenki kościelne, religijne. Mówiły do nas, abyśmy się modlili o szybki i szczęśliwy powrót do Polski i wszyscy razem (nawet dzieci żydowskie) modliliśmy się o to.

Starsze dziewczęta: Ania Jatkowska, Wiktoria Michniewicz, Władysława Wieczorek, Stanisława Treibszo, Eugenia Turulko, Jadwiga Łoś, Teresa Jaskóła, Rywka Polner, Irena Omeljanczuk zajmowały się różnymi pracami. Pełniły dyżury w kuchni i stołówce - obierały ziemniaki, warzywa; nakrywały do stołu, zmywały naczynia, kotły i podłogę. W nocy prały, gotowały i prasowały bieliznę. Piłowały i rąbały drewno, które chłopcy przynosili z lasu. Tym drewnem dziewczęta paliły w salach. Uprawiły ziemniaki i warzywa. Jesienią chodziły na wykopki do kołchozu. Wracając z wykopek dziewczęta przechodziły obok pola kapusty i podkradały ją. Ponadto dziewczęta zajmowały się szyciem bielizny, sukienek i spódniczek dla siebie i lalek. Szyły lalki szmaciane, dla których formę przygotowywała pani Lohman. Lalki napelniane były szmatkami lub trocinami. Przytwierdziwszy zrobione przez siebie paski z włóczki do starej podeszwy można było uzyskać wspaniałe sandały. Każda trochę starsza dziewczyna miała pod opieką jedno dziecko młodsze. Dziewczęta paliły ogień w bani i kąpały maluchów. W wolnych chwilach uczyły się mówić i czytać po polsku. Czytały

polskie książki, otrzymywane ze Związku Patriotów Polskich w Barnaule. Pani Smolubowska siadywała ze starszymi dziećmi na kocu na trawie i uczyła je czytać po polsku oraz tłumaczyła działania matematyczne. Pisaliśmy na szarym kocu, który służył jako tablica. Wycieranie tablicy polegało na wytrzepaniu koca kijem. Wieczorami i w nocy polowaliśmy na szczury, które obgryzały nam wszystkie rzeczy. Lidia Woskriesieńska zabierała w majowe niedziele grupę dziewcząt do lasu i uczyła je odmawiać różaniec i śpiewać pieśni kościelne. Takie to były majowe nabożeństwa.

W naszym sierocińcu brakowało wszystkiego - również pożywienia. Nowy dyrektor zwrócił się do hurtowni o prowiant. Odpowiedziano, że nasz dom otrzymał wszystkie przydziały żywności aż do 1946 r. Wydział aprowizacji w Barnaule to potwierdził. Tym samym mogliśmy tylko otrzymać mąkę na wypiek chleba w ilości 500 g dziennie na osobę. Mąkę wydawano z młyna dwa razy w miesiącu. W związku z tym Wacław Przelaskowski zwrócił się listownie do Michaiła Kalinina przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR z prośbą o pomoc. Po tygodniu nadszedł z Moskwy telegram: "Zabezpieczyć Dom Dziecka w Zudziłowie prowiantem z rezerw Armii Czerwonej w Kraju Ałtajskim". W związku z tym wydział aprowizacji wydał odpowiednie zarządzenie.

Najbardziej dawał się we znaki brak siana dla koni, owiec i krów. W związku z tym starsi chłopcy pojechali do składu rezerw Armii Czerwonej po prasowane siano. Siana jednak nie wydano i zagrożono aresztem. Po interwencji Wacława Przelaskowskiego w tej sprawie w Barnaule kierownik składu rezerw został pouczony, że w razie kolejnego sprzeciwu będzie ukarany za niewykonanie rozkazu Kalinina. Następnym razem nie mieliśmy żadnych trudności z otrzymaniem siana dla koni i krów. Przydziały chleba dla dzieci wynosiły 500 g dziennie. Brakowało wszystkiego, a szczególnie kaszy i ziemniaków. Ziemniaki dostawaliśmy z rezerw Armii Czerwonej. Jeździł po nie dyrektor naszego Domu Dziecka ze starszymi chłopcami. W ten sposób do piwnic sierocińca trafiło 25 ton ziemniaków. Wystarczyły one na wyżywienie aż do nowych zbiorów i na posadzenie w polu.

Kiedy ostatni raz pojechaliśmy po ziemniaki, przed składem stało pięć ciężarówek z Armii Czerwonej pod dowództwem majora, któremu odmówiono ziemniaków twierdząc, że wszystkie zabrał nasz sierociniec. Major zwrócił się z pretensjami do Wacława Przelaskowskiego grożąc mu sądem wojskowym. Na to otrzymał odpowiedź: "Szanowny majorze, proszę wytłumaczyć żołnierzom, że polskie dzieci z sierocińca Zudziłowo zjadły przydział ich ziemniaków. Kiedy Armia Czerwona w trakcie wojny znajdzie się w Polsce, Polacy zawiązką jej to wynagrodzą". Przyjechaliśmy tym razem z pustymi wozami, ale żadnej przykrości z tego, że wzięliśmy 25 ton ziemniaków nie było.

W lipcu 1945 r. Wacław Przelaskowski został skierowany na kurs nauczycielski szkół polskich do Moskwy. Dyrektorem naszego Domu Dziecka został Antoni Wiejak. Miał on żonę Helenę i troje dzieci - także wychowanków naszego sierocińca. Rodzina Wiejaków mieszkała przed wojną w Pińsku, gdzie pan Antoni był pracownikiem Banku Rolnego. W 1941 r. deportowano ich na Syberię.

W 1945 r. część wychowanków z zudziłowskiego Domu Dziecka została przeniesiona do kontoszyńskiego sierocińca. Byli to: Ania, Marysia i Władysław Pokropiwni, Władysław i Mieczysław Kalasiewicz, Helenka i Józef Jancz, Alfred Orłowski, Maciejak Leon, Michał Henszel, Zbigniew Kamiński, Ryszard Jędrzejczyk, Weronika i Roman Fitas. Część z nich uciekła i wróciła do Zudziłowa, gdyż w Kontoszynie pano-

wały gorsze warunki. Niestety, zostali ponownie odesłani do Kontosyzyna i pozostali tam do powrotu.

Wojna się skończyła 8 maja 1945 r., a o naszym powrocie do kraju nie było słyhać, ciągle mówili, że brak wagonów. Często biegaliśmy do stacji Pawalicha, aby się dowiedzieć czy są wagony dla nas. Aż dopiero na początku czerwca 1946 r. wybuchła wielka radość. W marcu rodzina Franka Puchalskiego i Stanisława Treibso załatwiła w Barnaule wcześniejszy wyjazd do Polski. Podstawili na stacji Pawalicha dla nas trzy wagony towarowe. Nie wiem kto pierwszy przyniósł tę wiadomość. Dwa wagony były duże - czteroosiowe i jeden mały - dwuosiowy. Mówiąc fachowo: 1 oś wynosi 5 m. Wszyscy szykowaliśmy prycze, sienniki do spania i prowiant na drogę. Pamiętam bardzo dobrze ostatnią noc w Zudziłowie i jak rano pani Grenz prowadziła grupkę dzieci na stację. W pewnym momencie zatrzymała nas i powiedziała: "Popatrzcie dzieci na ten budynek i Zudziłowo, bo tu już nie wrócimy". Poszliśmy drogą przez las do stacji Pawalicha. Z tej stacji nastąpił odjazd do Polski do Europy, gdyż byliśmy w Azji. Jeszcze wspomnę, jak ostatniego dnia naszego pobytu w Zudziłowie naprzeciwko budynku sierocińca było rosyjskie wesele. Goście popijali tak, że doszło do bijatyki, a my się przyglądaliśmy.

10 czerwca 1946 r. wszystkie dzieci z Domu Dziecka w Zudziłowie wyjechały do Polski wraz z całym polskim personelem. Podczas jazdy w dzień drzwi wagonu były otwarte, ale młodszym dzieciom nie wolno było przebywać w ich pobliżu. Aby i oni mogli patrzeć wyjmowano deskę ze ściany wagonu. Na stacjach otwór ten zamykano. Na dłuższych postojach gotowaliśmy zupę i kawę zbożową na ognisku. Przejeżdżając góry Ural (granicę między Europą i Azją) korzystając z dłuższego postoju na pewnej stacji urządzono dla nas kąpiel. Do Brześcia dotarliśmy 27 czerwca. Muszę nadmienić, że krótko przed odjazdem do Polski dyrektor Wiejak robił dużo zdjęć na pamiątkę. W Brześciu przed kontrolą film dał jednemu chłopcu na przechowanie. On jednak był ciekawy co tam jest, odwinął i prześwietlił. Szkoda. Teraz można by było zobaczyć jak wyglądaliśmy w 1946 r.

Do Polski - do Gostynina przyjechaliśmy 4 lipca 1946 r. Tam też zorganizowano Dom Rozdzielowy dla dzieci repatriowanych ze Związku Radzieckiego. Dzieci żydowskie od razu zabrała gmina żydowska. Wyjechały one do Izraela. Część dzieci powróciła do swoich rodziców lub krewnych. Resztę skierowano przeważnie do domu dziecka w Kwidzynie.

Podczas naszej tułaczki po "niehumanitarnej ziemi" nie zabrakło również przypadków i zdarzeń wstydlivych. Jedna ze starszych koleżanek wróciła z Syberii będąc w ciąży. Do chwili porodu nikt o tym nie wiedział. Dyrektor Domu Dziecka w Kwidzynie miała z tego powodu nieprzyjemności, a Wydział Oświaty żartował, że została babcią. Noworodka adoptowało bezdzietne małżeństwo i wszystko zakończyło się szczęśliwie, zarówno dla młodej matki, jak i dla dziecka.

W Gostyninie po dokładnym przebadaniu stwierdzono u mnie, Klementyny i Mieczysława gruźlicę. Skierowano nas na leczenie do sanatorium w Rabsztynie (obecnie Jaroszewiec). Mieliśmy tam bardzo dobre wyżywienie 5 razy dziennie i leżakowanie po obiedzie. Pod koniec grudnia 1946 r. przyjechała po nas pani Głodowska i zawiózła do Domu Dziecka nr 2 w Kwidzynie, gdzie już była siostra Anna. Do tej placówki trafiali wychowankowie syberyjskich domów dziecka z Zudziłowa, Kontosyzyna, Zagorska, Pawłodaru, Atbasaru, Namanganu, Sajramu. Mieliśmy dobre warunki bytowe: odrębną salę do spania, świetlicę do odrabiania lekcji, dużą aulę do zabaw. Było tam 5 grup wiekowych - klas szkolnych. W Kwidzynie ukończyłem 7 klas szkoły podstawowo-

wej i 1 rok szkoły ogólnokształcącej. W 1951 r. przeniesiono mnie do Domu Dziecka w Gdańsku, gdzie ukończyłem Zasadniczą Szkołę Kolejową, a później pracowałem i kontynuowałem naukę. W 1972 r. zdałem egzamin maturalny i ukończyłem Technikum Kolejowe w Bydgoszczy.

W 1960 r. ożeniłem się z Ludwiką Sikorską, była wychowanką domu dziecka. Rodzina żony przed wojną mieszkała w Michalczu pow. Horodenka, woj. stanisławowskie. Ojciec żony - Józef Sikorski, syn Augusta i Katarzyny, był wójtem we wsi Michalcze. Urodził się on w 1869 r. w Przeworsku. Sikorska Anna z domu Hawryszlin, córka Daniły i Marii, urodziła się w 1908 r. we wsi Czarnolica pow. Horodenka, woj. stanisławowskie. Przed I wojną światową rodzina Sikorskich mieszkała we wsi Baryczka pow. Strzyżów. Z pierwszą żoną miał córkę Stefanię (ur. w 1903 r.). Po odzyskaniu niepodległości po 1920 r. sprzedał swój majątek w Baryczce i kupił większy (ok. 50 ha ziemi) z zabudowaniami we wsi Michalcze. Córkę Stefanię wydali za mąż za Wnęka, z którego to związku było dwoje dzieci Adela i Józef. Pierwsza żona umarła Sikorskiemu i w 1932 r. ożenił się po raz drugi z Anną. Z tego związku narodziło się troje dzieci: Adela (Ludwika), Stanisław i Tadeusz. W 1940 r. w styczniu całą rodzinę Sikorskich i Wnęków NKWD deportowało do Kazachstanu do miejscowości Majkain Zołota. Tuż po przyjeździe na zsyłkę umarł ojciec żony - Józef i brat - Stanisław (1940). W 1943 r. umarł brat Tadeusz.

W 1944 r. późnym latem żona Ludwika ze swą chorą matką wędrowały pieszo do Pawłodaru do szpitala. Matkę przyjęto do szpitala, a Ludwika zatrzymała się u przedwojennej sąsiadki Weroniki Dudek. Gdy po ok. tygodniu Ludwika poszła odwiedzić matkę w szpitalu powiedziano jej, że matka zmarła. Wówczas pani Dudek umieściła Ludwikę w rosyjskim Domu Dziecka w Pawłodarze. Później została przeniesiona do polskiego domu dziecka, z którym wróciła do ojczyzny.

Mam córkę Danutę, która jest zamężna z Tomaszem Kautzem. Mają dwóch synów Patryka (ur. 1989) i Macieja (ur. 1993). Córka ukończyła liceum handlowe. Tomasz Kautz jest oficerem Marynarki Wojennej i pracuje w Akademii Marynarki Wojennej. Syn Mirosław ukończył technikum łączności, ożenił się z Danutą Kalisz i mają trzy córki: Joasię, Magdę i Esterkę.

Moja siostra Anna ukończyła Instytut Pedagogiczny i pracowała jako zastępca dyrektora szkoły podstawowej w Kwidzynie. Wyszła za mąż za Czesława Szafałowicza, też wychowanka domu dziecka - również nauczyciela. Siostra niedawno owdowiała, ma dwie zamężne, córki Barbarę i Ewę, mieszkające w Kwidzynie. Brat Mieczysław ukończył technikum samochodowe w Olsztynie. Pracował w PKS Grudziądz. Ożenił się z Barbarą Ciskowską i ma z nią pięcioro dzieci: Krystynę, Elżbietę, Adama, Tomka i Annę. Czworo z nich założyło już własne rodziny. Mieczysławowie doczekali się już ośmiorga wnucząt. Z rodzicami mieszka Anna, która uczy się w drugiej klasie Liceum Ekonomicznego w Grudziądzu. Obecnie Mieczysław jest na emeryturze. Należy do Związku Sybiraków w Grudziądzu.

Siostra Klementyna ukończyła Akademię Medyczną w Gdańsku. Wyszła za mąż za Ryszarda Szadurskiego. Mają dwie córki: Ewę i Danutę.

I tak wszyscy otrzymali wykształcenie będąc wychowankami domów dziecka, bez żadnej pomocy ze strony krewnych. Założyliśmy własne rodziny, uzyskaliśmy życiową stabilizację i staramy się przekazać nasze doświadczenie młodemu pokoleniu.

Jestem obecnie członkiem Zarządu Oddziału Sybiraków w Gdańsku. W zarządzie jest także inny wychowanek Domu Dziecka w Zudziłowie inż. Bogdan Ancerewicz.

Wszyscy wychowankowie syberyjskiego Domu Dziecka w Zudziłowie zgodnie twierdzą, że wśród byłych wychowawczyń należy szczególnie wyróżnić i uczcić panią Jadwigę Lohman i panią Zdzisławę Smolibowską. Pani Lohman szczególnie troskliwie opiekowała się maluchami. Zawsze na Boże Narodzenie i Wielkanoc przygotowywała im różne prezenty, później korespondowała z nimi i miała stały kontakt z Wacławem Przelaskowskim. Pan Przelaskowski również pomagał swoim byłym wychowankom np. w dostaniu się na wyższe studia. Kierował bowiem na uczelnie pisma informujące o ich pobycie w syberyjskim sierocińcu. Interweniował m.in. w sprawie przyjęcia na studia medyczne w Gdańsku siostry Klementyny oraz przydziału mieszkania siostrze Annie w Kwidzynie.

Zdzisława Smolibowska urodziła się w 1912 r. w Gnieźnie jako córka urzędnika magistrackiego. Maturę uzyskała w 1930 r. w Kaliszu i w 1937 r. ukończyła Uniwersytet im. Stefana Batorego w Wilnie. W latach 1937-1939 pracowała jako nauczycielka w gimnazjum w Stonimiu. W roku 1940 została wraz z matką deportowana do Altajskiego Kraju na Syberię. Do maja 1942 r. pracowała w cegielni, a następnie jako siostra medyczna. Za odmowę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego została skazana na pobyt w łagrze. Amnestionowano ją w 1945 r.

Dyrektor Przelaskowski przyjął panią Zdzisławę do Domu Dziecka w Zudziłowie jako pomoc kuchenną, potem po zwolnieniu rosyjskiej higienistki została siostrą medyczną i nauczycielką matematyki w szkole polskiej w Zudziłowie. W tym okresie mieszkała wraz z rodziną Grenzów (razem 4 osoby) w ziemiance o wymiarach 2,5 m na 3,5 m zbudowanej dla przechowywania uprzęży końskiej. Wkrótce przenieśli się oni do domu, w którym mieszkał Franciszek Puchalski z rodziną. Pani Zdzisława zadawała sobie wiele trudu, by szerzyć oświatę wśród wychowanków. Siedząc z dziećmi na łóżkach, tłumaczyła im zasady działań matematycznych czy też gramatykę języka polskiego. Dzieci były opóźnione w nauce w stosunku do swego wieku. Pisaliśmy na tablicy zaimprovizowanej z rozwieszonego na ścianie wytartego koca. Po powrocie do kraju mieszkając i pracując w Kwidzynie pani Smolibowska nie straciła kontaktu z wychowankami z Zudziłowa. Od września 1947 r. przygarnęła do klasy Ia gromadkę sierot z Państwowego Domu Dziecka nr 2 i kilka dziewcząt od syberyjskich sióstr zakonnych. Zdzisława Smolibowska po powrocie do Polski początkowo pracowała jako wychowawczyni w Domu Dziecka nr 2 w Kwidzynie, potem jako nauczyciel matematyki w Liceum Pedagogicznym w Kwidzynie.

Pani Zdzisława miała charakterystyczny uśmiech, była pogodnego ducha. Wymagała ponad miarę, ale była sprawiedliwa i obiektywna. Utrzymywała stały kontakt z Wacławem Przelaskowskim, który pracował w Polskiej Akademii Nauk. Między innymi on ją obronił, kiedy panią Zdzisławę chciano przenieść z Kwidzyna. Byli bowiem tacy, którym nie podobała się postawa i praca Smolibowskiej. Umarła w 1966 r. Na jej mogile wychowankowie postawili pomnik z cytatem "Nigdy kto szlachetny nie był mi obojętny". Cześć Jej pamięci!

Z grona rosyjskich wychowawczyń naszego sierocińca szczególnie polubiliśmy 20-letnią Zenię Andriejewną Szełojnikową pochodzącą z Leningradu. Uczyliśmy ją nawet mówić po polsku. Po zdjęciu blokady Leningradu Zenia wyjechała do domu, lecz pisywała do nas regularnie listy i kartki pocztowe. Zachowałem przykłady tej korespondencji. W 1971 r. napisałem do niej i wyrobiłem zaproszenie na przyjazd do Polski. Ona z kolei zaprosiła mnie, moją siostrę Annę i syna Mirosława. Będąc w Leningradzie spotkałem także byłą intendentkę-magazynierkę z Zudziłowa Walentynę Nikołajewną Kuroczkinę.

Pamiętam również, jak jeden ze starszych wychowanków Janek został przyłapany na randce z Marią - żoną byłego dyrektora Fiodorowa. Gonił on go z pistoletem - chciał zabić. Janek uciekł do domu Puchalskich i tam go ukryto. Teraz często z Jankiem się spotykam i powracamy do tej historii.



Fot. 1. Wychowankowie Domu Dziecka z Zudziłowa, w Domu Dziecka w Kwidzynie, październik 1946, po przyjeździe z Syberii.



Fot. 2. Rodzeństwo Jatkowskich w czasie pobytu w Państwowym Domu Dziecka nr 2 w Kwidzynie w 1948 r., od lewej Klementyna, Stanisław, Anna, Mieczysław.



Fot. 3. Rodzeństwo Jatkowskich dwadzieścia lat później, od lewej Mieczysław, Klementyna, Anna, Stanisław.



Fot. 4. Kwidzyń - zjazd byłych wychowanków Domu Dziecka nr 2, październik 1979 (poprzednio Zudziłowo 1943-1946). Od lewej: J. Jancz (częściowo zasłonięty), Fr. Maszkowski, Z. Jędrzejczyk, R. Jaskóła (wyżej), Z. Grenz, M. Kalasiewicz, W. Kalasiewicz.



Fot. 5. Kwidzyń - zjazd byłych wychowanków Domu Dziecka nr 2, październik 1979.



Fot. 6. Końskowola - zjazd u Państwa Wiejaków 4 września 1977, od lewej strony: W. Przelaskowski, Z. Jędrzejczyk, J. Łoś, T. Jaskóła, Wiejak, T. Grenz, córka Maszkownickiego, F. Maszkowski, B. Anczewicz, S. Wiejak, Wł. Szydło, T. Czerniawski, St. Jabkowski, K. Drozd.



Fot. 7. Stare Jabłonki - zjazd byłych wychowanków syberyjskich Domów Dziecka, 23 maja 1996, Stanisława Treibszo i Stanisław Jatkowski.

Wszystkie zdjęcia z archiwum Autora